



fot. Agencja FORUM

# Afera hazardowa

Wydaje się, że ostatni *wysyp afer* (jak to barwnie określił pan prezydent) przesłonił społeczeństwu wszystkie inne aspekty życia codziennego. Ludzie nie reagują na to, co jeszcze niedawno budziło w nich najgłębsze emocje. Weźmy na przykład polską służbę zdrowia. Od paru miesięcy funkcjonuje ona w trybie ostrodyżurowym.

Szpitaly ograniczają działalność, nie przyjmując pacjentów *planowych*, a jedynie tych ze wskazań nagłych. Liczba tak funkcjonujących szpitali stale rośnie, o czym codziennie informują gazety, radio i telewizja. Podobną – mniej więcej – formę miał pamiętny strajk lekarzy, organizowany przez OZZL w latach 2006 i 2007. Z tym, że nasz

być. Szpitale muszą ograniczyć działalność, bo skończyły się przyznane im limity, a limity muszą być ustanawiane, bo pieniędzy publicznych na wszystko nie starczy. Jeszcze parę lat temu ministrowie zdrowia wstydzieli się, gdy wypominano im limitowanie świadczeń i kolejki do leczenia, dzisiaj z uniesioną głową twierdzą, że to rzecz normalna i konieczna.

Faktycznie – nie uda się zlikwidować administracyjnego limitowania dostępu do leczenia i kolejek, jeśli chce się zachować dogmat o bezpłatnej służbie zdrowia. Ilość pieniędzy publicznych przeznaczonych na leczenie jest bowiem – co oczywiste – sztywno określona, a popyt na świadcze-

„ Liczba świadczeń szpitalnych udzielonych w tym roku będzie z pewnością dużo mniejsza niż w latach, gdy strajkowali lekarze „

strajk był – w istocie – znacznie łagodniejszy. W poszczególnych szpitalach trwał zwykle parę dni, tydzień lub maksimum dwa i dochodziło do jakiegoś porozumienia, a po jego zakończeniu lekarze, pracując w dwójnasób, odrabiali straty, przyjmując pacjentów odprawianych wcześniej. Tym razem tak nie będzie. Już zapowiedziano, że kto wypadł z kolejki, będzie musiał czekać w niej na leczenie od nowa. Niektórzy zapewne tego leczenia już nie doczekają. Liczba świadczeń szpitalnych udzielonych w tym roku będzie z pewnością dużo mniejsza niż w latach, gdy strajkowali lekarze.

I co? Nic się nie dzieje. Pacjenci się nie burzą, tabloidy nie żądają krwi tych, co odprawiają chorych z kwitkiem, autorytety moralne nie protestują, milczy Rzecznik Praw Obywatelskich i nowo powołana Rzecznik Praw Pacjentów. Wszyscy są jakby znieczuleni. Czy to faktycznie afery przysłoniły im życie? Co się stało, że ludzie nie reagują na sytuację, której skutki są dużo gorsze niż skutki wielkiego strajku lekarskiego? Otóż wmówiono im, że to, co się teraz dzieje, to stan normalny. Tak po prostu ma

nia, przy ich bezpłatności – nieograniczony. Trzeba więc postawić arbitralnie jakąś granicę: ty, ty i ty do leczenia, reszta – do kolejki. Można jednak to zmienić wprowadzając, obok pieniędzy publicznych – dopłaty do leczenia ze środków prywatnych. Politycy nie chcą jednak tego zrobić, bojąc się utraty popularności. Znaleźli nawet odpowiednie wytłumaczenie: nie ma przyzwolenia społecznego na współpłacenie w służbie zdrowia. Polaków na to nie stać. I mało kto się dotychczas odważył tej tezie przeciwstawić. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Może nie tyle sama sytuacja, co jej postrzeganie. Przy okazji afery hazardowej dowiedzieliśmy się bowiem, że Polacy w ciągu ostatniego roku na grę w totolotka i w *jednorękiach bandytach* wydali 11 mld złotych. To 20 proc. tego, co Polska wydaje na publiczną służbę zdrowia. Kto wydał te pieniądze – krezusi? Nie! Totolotek i *jednoręcy bandyci* to rozrywka dla *mas*. Skoro stać je na te wydatki, tym bardziej będzie stać na dopłaty do leczenia. A przynajmniej trudno będzie im się tłumaczyć: nie mamy na leczenie, bo wydaliśmy na hazard. ■